

Zbigniew Bednarek

**„Ważniejsze są dla mnie reportaże niż nawet
najbardziej sensacyjne korespondencje depeszowe”
– rozmowa z Wojciechem Jagielskim*
o jego reportażach wojennych**

Ciepłe marcowe popołudnie. W warszawskiej redakcji „Gazety Wyborczej” gwaro. Czekam przy recepcji. Schodzi do mnie pan Wojciech Jagielski i już z odległości nawiązujemy kontakt wzrokowy – kłaniam się głową. Podchodzi do mnie. Zapoznajemy się ze sobą, po czym przechodzimy do redakcyjnej kawiarni. Siadamy przy stoliku i pan Wojciech zamawia kawę. W kilku zdaniach przybliżam mu swoją sylwetkę. Następnie, za jego zgodą, włączam dyktafon i zadaję pierwsze pytanie...

Skąd wzięło się u Pana zainteresowanie właśnie Kaukazem i Afryką?

Afryka pojawiła mi się jeszcze przed czasami studenckimi. Nie jestem w stanie podać jednej precyzyjnej przyczyny. Myślę, że w każdym z nas tkwi potrzeba jakiejś egzotyki, i chociaż ja sobie tego nie uświadamiałem, na pewno było to związane z jakimiś lekturami. Pamiętam książki, w których Afryki była cała masa: Wiesława Górnickiego, Wojciecha Giełżyńskiego, Ryszarda Kapuścińskiego czy Ernesta Hemingway’a, którym jako pierwszym najbardziej się fascynowałem.

Studiowałem stosunki międzynarodowe i dziennikarstwo, natomiast po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy byliśmy przymuszeni do listy obecności i chodzenia na wszystkie zajęcia, wydawało mi się, że części zajęć nie byłem

* Wojciech Jagielski jest jednym z najbardziej znanych polskich reportażystów. Otrzymał wiele nagród za swoje reportaże z rejonów Afryki, Kaukazu i Afganistanu. Doceniany za granicą i w Polsce, opublikował trzy książkowe reportaże: *Wieża z kamienia*, *Modlitwa o deszcz* oraz *Dobre miejsce do umierania*, będące owocem kilkudziesięciu podróży w tamte rejony świata. Ponieważ jest znakomitym znawcą tematów, którymi się zajmuje, jego korespondencje wojenne dostarczają odbiorcom ważnych informacji. Współpracuje z „Gazetą Wyborczą”, „Le Monde” i BBC. Prywatnie uwielbia czytać literaturę biograficzną, a jego pasją, oprócz podróży, jest sport i muzyka rockowa.

w stanie intelektualnie podolać i wówczas zdecydowałem się na indywidualny tok studiów. Wybrałem sobie właśnie afrykanistykę i pracę magisterską pisałem także na temat Afryki.

Po skończonych studiach zdecydowałem się być dziennikarzem w Polskiej Agencji Prasowej i tam chciałem się zajmować Afryką. Była ona wtedy bardzo wąską specjalizacją w PAP-ie, a sama ta instytucja była w średniej sytuacji finansowej. Perspektywa pracy na placówce czy w ogóle wyjazdów do Afryki była bardzo ograniczona i mój mądry szef ówczesny, nieżyjący już Michał Czarnecki widział, że mam zadatki na dziennikarza, a że do Afryki raczej bym nie pojechał, zaproponował mi, żebym zajął się południową częścią ówczesnego Związku Radzieckiego – Kaukazem właśnie. Argumentem ostatecznym było to, że w Związku Radzieckim będę mógł obserwować to, co Kapuściński obserwował w Afryce – mianowicie dekolonizację. Wtedy, pod koniec lat osiemdziesiątych, brzmiało to absurdalnie, nikt z nas sobie nie wyobrażał, że nie będzie Związku Radzieckiego. I tak zacząłem jeździć po Zakaukaziu, Kaukazie, a później po całym południu ZSRR. Jak pojechałem do Azji Środkowej (radzieckiej), szybko się zorientowałem, że jest to pewnego rodzaju subkontynent, którym można się zająć albo w całości, albo nie zajmować się nim wcale. Postanowiłem jednak się tym zająć i w 1992 r. dołączyłem jeszcze Afganistan i północno-pasztuńskie tereny Pakistanu. I chociaż w sumie jest to prawie 70 krajów, to jednak moja specjalizacja jest dosyć wąska, ale konkretna.

A jak Pan jedzie do Afganistanu czy na Kaukaz, to w pierwszej kolejności czuje się Pan korespondentem relacjonującym wydarzenia na bieżąco dla gazety czy reportażystą?

Korespondentem. W ogóle nie ma dwóch zdań. Ryszard Kapuściński też, mimo że nie pracował już dla żadnej gazety, jechał i zachowywał się tak, jakby miał codziennie o czymś nadawać albo przynajmniej być przygotowany do tego, że nadaje relacje co 2–3 dni.

Dlaczego w swoim zawodzie wybrał Pan właśnie reportaż, a nie inny gatunek?

Uważam, że to jest najwłaściwszy, najbliższy mi sposób ekspresji. Nie potrafię śpiewać, nie potrafię malować, może potrafię, chociaż to też jest bardzo zarozumiałe, pisać reportaże. To jest mój sposób ekspresji. Innego nie mam.

A co jest w reportażu szczególnego, że jest Panu taki bliski?

To, że można w nim opisywać nie tylko sytuacje, nie tylko zdarzenia, ale też np. stany duchowe – moje i moich bohaterów. To jest też ryzykowne. Kapuścińskiemu zarzucają, że on uprawiał reportaż alegoryczny. Mnie to jest

bardzo bliskie. Natomiast jest to bardzo cienka granica, bo uprawiając tego rodzaju reportaż, pisząc o czymś, o jakichś osobach czy o konkretnej sytuacji i używając tego wszystkiego do własnych celów, popełniam pewnego rodzaju nadużycie.

Moim celem jest, pisząc o Maschadowie, Basajewie czy o relacjach między nimi dwoma, żeby mój czytelnik czytał i żeby u niego pojawiła się ta sama refleksja, która do mnie doszła – np. o jakiejś niemożności, o podłych postawach życiowych. Ja przedstawiłem losy obydwu. Moim zdaniem oba losy są dramatyczne, ciekawe same w sobie. To jest do przeczytania. Natomiast mnie nie tylko o to chodziło, żeby ktoś dowiedział się czegoś o Czeczenii, o tych dwóch osobach, tylko o takich dwóch postawach życiowych. I tak – jest Basajew, który wszystko traci – życie jest jedno, na co on będzie liczył? Dlaczego się ograniczać? Przecież on powinien wziąć jak najwięcej z tego życia dla siebie. Z kolei Maschadow to jest chodzące poczucie obowiązku i konsekwencji. Która postawa jest ważniejsza? Która jest lepsza? Obaj zginęli niemalże tak samo. Jedna jest mi bliska i druga też. Myślę, że ludziom w ogóle obie są bliskie. Pogodzić ich się nie da. Dobrze jest z jednej strony niczym się nie przejmować i brać wszystko, co jest potrzebne. A z drugiej strony przecież każdy człowiek ma w sobie coś takiego, że powie sobie „coś w tym jest nie tak”.

Czyli reportaż oferuje Panu najszerszy wachlarz tych środków?

Tak. Poza tym każdy człowiek ma potrzebę wypowiedzania się. Powinien zatem szukać metody wyrażania siebie, bo tylko niewielu potrafi powiedzieć o czymś na zewnątrz. I strasznie mało w nas jest takiej gotowości, żeby poświęcić drugiemu trochę czasu. „Eee tam, trzech zdań nie potrafię powiedzieć”, a człowiek okazuje się, że jest kopalnią. Tyle rzeczy rewelacyjnych w nim jest, ma niezwykłą osobowość, tylko nie ma tego sposobu wyrażenia własnych myśli.

W ostatnich czasach powstało na świecie kilka organizacji, które szkolą osoby wyjeżdżające na tereny objęte wojną – wysłanników misji humanitarnych, dziennikarzy, biznesmenów. Prowadzą szkolenia np. symulujące porwania. Czy Pan skorzystałby z takiego sposobu?

Z całą pewnością nie. Oczywiście każda wiedza jest do czegoś potrzebna i kiedyś się przydaje, więc nie twierdzę, że jest to zupełnie bez sensu, natomiast wiem z własnego doświadczenia, że zestawienie praktyki z tą teorią, bo to jest przecież teoria, ma się nijak.

Podobnie jak nie chodzę, mimo możliwości, na szkolenia dotyczące zachowania się na polu bitwy. Dziennikarz na polu bitwy właściwie się nie znajduje, a jeżeli już się zdarzy człowiekowi być w sytuacji niebezpiecznej

czy wojennej, to bardzo często reaguje się zupełnie irracjonalnie. Co mi zatem da takie szkolenie? Nic. Zakładając, że gdybym został kiedyś porwany, to bardziej mi się przydadzą studia psychologiczne.

Czy wojny, niezależnie od tego, w jakiej toczą się części świata, są podobne do siebie pod jakimiś względami? Jakie mają cechy wspólne, a jakie różnice?

Każda wojna polega na zabijaniu przeciwnika, w związku z tym powszechne, wspólne są tego rodzaju cechy, jak strach, agresja, nienawiść – szczerza albo nienawiść, którą się pobudza w sobie przygotowaniem ideologicznym, psychologicznym, narkotykami czy wódką.

Sytuacją wojenną jest również potworny chaos. Także ludność cywilna zawsze cierpi na każdej wojnie w sposób podobny, tylko to już jest kwestia skali.

Zresztą dziennikarz też się podobnie zachowuje: musi gdzieś dojechać, spotkać się z dowódcami jednej i drugiej strony, musi być w miarę blisko. Być w miarę blisko – znaczy świadomie narażać się na jakieś niebezpieczeństwa.

Natomiast oczywiście każda wojna jest też inna. Przyczyny tej wojny są inne, ludzie, którzy tę wojnę toczą, inne są warunki geograficzne i klimatyczne. W związku z tym ja jako dziennikarz, wybierając się na te swoje wojny afrykańsko-azjatyckie, zdaję sobie sprawę z ogromnej różnicy. Wiem, że inaczej w tej samej sytuacji reagują Arabowie, inaczej reagują Afrykanie, a jeszcze inaczej Afgańczycy.

Może Pan podać jakiś przykład?

Powiedzmy, strzał w powietrze – jak ludzie się zachowują w sytuacji paniki? Jedni, akurat to obserwowałem, wpadają w panikę, uciekając i trając, a inni się „przyczajają”.

A która nacja zwykle się przyczaja, a która ucieka?

Powszechniejsza ucieczka, i to taka ucieczka, która grozi zdeptaniem, jest spotykana w Afryce – szczególnie w miastach.

Jak widzimy w telewizji tę ulicę arabską, tak chętnie pokazywaną przez dziennikarzy, jak ci Arabowie krzyczą i życzą śmierci, wygrażają, to wszystko jest takie strasznie ekspresyjne. To się pojawia błyskawicznie i tak samo błyskawicznie znika. Ale trzeba wiedzieć, ja to wiem z doświadczenia, że jeśli ktoś tam idzie i krzyczy „śmierć białemu, śmierć białemu”, a ja jestem ten „biały”, to on nie ma nic do mnie.

To zależy też i od mojego zachowania. Czy zachowując kamienny spokój, kogoś sprowokuję do jeszcze większej agresji, czy wręcz rozładuję sytuację. Na przykład w Afganistanie, niezachwiana pogoda ducha, życzliwość czy wręcz ślamazarność wywoływała bardzo sympatyczne, pozytywne skojarzenia. Podobne

zachowanie w Afryce wywoływało niezyczliwość i dezorientowało. Natomiast poczucie humoru Afrykanów, ich temperament i pewna bezpośredniość, którą ja tam też uprawiam, aczkolwiek zawsze staram się utrzymywać dystans, ale właśnie ta moja bezpośredniość afrykańska przeniesiona do Afganistanu byłaby karygodna. Zostałbym uznany za barbarzyńcę, za człowieka zupełnie z kosmosu.

Więc te inne typy zachowań ludzkich w tych samych sytuacjach – to jest ta różnorodność.

W swoich książkach pisze Pan o wszechogarniającej atmosferze niepewności, braku zaufania jednych ludzi do drugich. Co Pan robi, żeby wzbudzić zaufanie w swoich rozmówcach?

Staram się być dla nich życzliwy, miły. Przychodzę zawsze i wszędzie z życzliwością, z zainteresowaniem. „Przyjechałem, żeby usłyszeć, co masz do powiedzenia. Bardzo mnie to ciekawi”. „W ogóle fajnie się czuję w twoim towarzystwie”.

I to wystarczy?

Nie. Jest jeszcze druga rzecz. Taki pierwszy krok, to jest takie „dzień dobry”, po którym jest miło rozmawiać.

A potem, gdy zaczynamy rozmowę, to zawsze wychodzi, czy ja udawałem tę życzliwość i zainteresowanie, czy jestem rzeczywiście zainteresowany. To wynika z mojej wiedzy. Bo jeżeli mój rozmówca z pierwszych dwóch zdań wnioskuje, że ja nie zadałem sobie trudu, żeby poczytać cokolwiek o tym kraju, o jego sytuacji, to jak on może mnie poważnie traktować? A jak ja z nim rozmawiam na naprawdę dużym poziomie szczegółowości wiedzy, to czasami aż...

Chociaż to też trzeba dawkować. Dlatego, że ja parę razy byłem podejrzwany, że jestem z jakichś służb specjalnych, bo mojemu rozmówcy się wydało, że to jest niemożliwe, żebym ja tak dużo wiedział. Ale to było zawsze wyłącznie pozytywne nastawienie.

To jak powiedzieć „dzień dobry”? Jakie są te pierwsze zdania nawiązania kontaktu?

Ja się kłaniam. Zazwyczaj jak się witam, kładę rękę na sercu. Jestem serdeczny i pełen szacunku. Zawsze, nawet do największych idiotów i tych niebezpiecznych. Natomiast nigdy nie padam w objęcia.

A jak Pan zaczyna rozmawiać, to zawsze od razu się Pan przedstawia, że jest dziennikarzem?

Tak, zawsze. Uważam, że nawet nie wolno mi tego nie powiedzieć. Chociaż nawet jeżeli nie mówię „dzień dobry, jestem dziennikarzem”, to mój rozmówca

nie ma nigdy najmniejszych wątpliwości, że nim jestem. On może mieć podejrzenia, że mogę być kimś jeszcze. Natomiast o tym, że jestem dziennikarzem, to on wie na 300%.

Nawet jak Pan mu tego nie powie i nie nosi kamizelki z napisem „Press”?

Wskazuje na to moje zachowanie itd. Robię to otwarcie. Nienawidzę tzw. prowokacji dziennikarskiej. Uważam to za sprzeczne ze sztuką dziennikarską. Prowokacja dziennikarska jest usprawiedliwiona jedynie, w moim przekonaniu, w skrajnych, wyjątkowo skrajnych przypadkach, a w Polsce jest też nadużywana. Nawet taki Woodward i Bernstein potrafili aferę Watergate zrobić i wyjaśnić, nie posługując się prowokacją. A u nas z byle powodu robi się prowokację.

Jak Pan rozmawia z ofiarami wojny, które wiele przeszły, to czy są takie rzeczy, o których nie chce Pan z nimi rozmawiać? O co nigdy ich Pan nie zapyta?

Staram się bezpośrednio z ofiarami wojny nie rozmawiać. Poza tym jeżeli będę wiedział, że komuś coś strasznego się przydarzyło, to nie mając pewności, że ten ktoś sam jest gotów mi o tym opowiedzieć, raczej będę pytał jego sąsiadów o to, co mu się przydarzyło, a jego spytam, co się przydarzyło sąsiadom. Bo ja się wtedy lepiej czuję. Ja nie jestem tego typu dziennikarzem, nie potrafię grzebać w ludzkich „wnętrzościach”. Może to jest skaza, ja uważam to za zaletę.

Nie ekscytuję się też tym koszmarem i okropieństwami wojennymi. Czasami ktoś potrafi mi o nich opowiadać, ale ja rozmawiam z nim na zasadzie, że ja o nich wiem. Rozmawiałem przecież z kobietami zgwałconymi. Ja wiedziałem, co im się przydarzyło. Rozmawialiśmy tak, że to była pewnego rodzaju gra. Ja wiedziałem, o czym jest mowa, ona wiedziała, obydwójce wiedzieliśmy, o co chodzi. Gdybym zapytał wprost, boję się, że to raczej ja nie umiałbym o tym rozmawiać niż ona. I tak samo jest z innymi.

Zdarzają się wyjątki. Kiedyś spotkałem Gruzina, któremu zginął syn, wnuk i on miał wewnętrzną potrzebę opowiadania. To on raczej mi się narzucał. Bardzo często jest tak, szczególnie jak się jeździ samemu, jak we dwóch to już nie. Pamiętam, że te wszystkie moje kaukaskie reportaże powstawały najczęściej w autobusach czy w pociągach. Ja siadałem, ktoś tam zauważył, że jest jakiś obcy, przysiadł się do mnie i opowiadał – tak jak księdzu w konfesjonale. Jak powie komuś, to się boi, że to gdzieś się rozejdzie, a ze mną wiadomo, że się nigdy nie rozejdzie. Ludzie mi rozmaite historie opowiadali.

Nie ranić – to jest moja pierwsza zasada. Nie wydaje mi się, żeby to było naturalne opowiadać o takim koszmarze, który komuś osobiście się przydarzył.

Co ja osiągnę, że ktoś mi się rozplacze? Jaki to jest efekt? Co ja z tego napiszę? Po co mi to wszystko? Czasami też są jakieś uproszczenia, bo sąsiad coś powie o czymś, ja mam mniej więcej jakieś wrażenie o tym, co się zdarzyło, zazwyczaj jest ono prawdziwe. Ale może w niektórych wypadkach nie. Ale ja wolę nie sprawdzać. To nie jest aż tak bardzo potrzebne.

Jak wygląda Pana dzień pracy na terenie objętym wojną? Czy są jakieś „żelazne punkty”?

To nie jest tak, że ja jeżdżę na wojnę i że to jest mój cel, przedmiot moich zainteresowań. Jeżeli zajmuję się tym właśnie terenem i tam wybuchła wojna, to nie mogę powiedzieć, że ja na tę wojnę nie pojadę, bo ona jest niebezpieczna dla mnie.

Poza tym staram się ze wszystkich sił zajmować wszystkimi zjawiskami, które dzieją się w tych moich strefach. W związku z tym, gdy w zeszłym roku jeździłem do Afryki Środkowej, to pisałem o wojnach, ale też o wysychaniu Jeziora Wiktorii.

Jadąc gdzieś, muszę pamiętać nie tylko o tematach, które mnie interesują i które chciałbym pokazać, ale na pewno także o tym, co interesuje redakcję.

Jeżeli gdzieś toczą się działania zbrojne, a ja mam możliwość wyjazdu na pierwszą linię, to najpierw z fotoreporterem szukamy możliwości, jak tam się dostać. Ja w miarę możliwości śledzę internetowe wydania prasy lokalnej. Wyjeżdżając do Ugandy, znałem nazwiska ugandyjskich dziennikarzy, z którymi kontakt byłby dla mnie korzystny. Jeżeli, powiedzmy, za pół roku wybierałbym się do Nigerii, to od jakiegoś miesiąca poza forum afrykańskim czytałbym też gazety nigeryjskie, żeby wiedzieć coś więcej.

A jak Pan już trafia do tych dziennikarzy?

Trafiam do tych dziennikarzy i z nimi rozmawiam. Tu na miejscu jest selekcja. Jedni są uczynni, inni nie są, jedni okazują się mądrymi, inni wcale nie. Dają nam informacje o osobach, z którymi warto się skontaktować na pierwszej linii albo mówią, że z kimś nie warto. Pytam się ich o rzeczy związane już z naszym własnym zachowaniem.

Spotykamy się też w stolicy – bo to się wszystko odbywa w stolicy któregośkolwiek bądź kraju – z pracownikami rozmaitych organizacji humanitarnych. Pytamy o możliwość transportu, bo czasami jest tak, że zwykły kierowca nas nie weźmie, a wtedy już wiemy, kto tam jeździ. Robimy więc taki rekonesans. To trwa 2–3 dni.

Później jedziemy do strefy wojennej. Nigdy nie jestem tam długo z kilku powodów. Te konflikty raczej nie wpływają na losy świata, w związku z tym bez sensu jest relacjonować szczegółowo przebieg wojny w Gurundii, Gruzji czy w Abchazji. Ja tam jestem po to, żeby zobaczyć specyfikę tego konfliktu,

dowiedzieć się, o co on się toczy i jak wygląda z bliska oraz troszeczkę samemu to poczuć. Nie sposób przecież pisać o żołnierzach walczących, skoro człowiek sam nie wie, w jakich to się warunkach odbywa. Wystarczą 3–4 dni, żeby ze wszystkimi porozmawiać, coś tam zobaczyć, pooglądać. Wtedy wracamy.

Czym się Pan zajmuje po powrocie z linii frontu?

Przede wszystkim zajmuję się robieniem jak najbardziej szczegółowych notatek dotyczących wszystkiego, bo wiele rzeczy się wymyka. Nawet te notatki spisywane tam na miejscu też często są nie do rozszyfrowania, bo czasami się operuje jakimiś skrótami, które w założeniu powinny być do rozczytania, a nie są.

Zgadzam się z tym, co mówił Ryszard Kapuściński, że jak człowiek wraca do tego po kilku latach, to ma zupełnie inne skojarzenia, refleksje, o czymś innym myśli. Pojawia mu się myśl błyskawiczna i otwarta, która na przykład jest lepsza.

Staram się to wszystko jak najbardziej szczegółowo spisać, bo zapominam, a podobnie jak Kapuściński nie posługuję się magnetofonem przy rozmowach.

Czyli korzysta Pan z notesu?

Głównie z pamięci. Rozmawiam po to, żeby się czegoś dowiedzieć, a jeśli bym rozmawiał i sobie coś notował, to rozpraszałoby to mojego rozmówcę. Co innego, jak bym przeprowadzał wywiad – wtedy stawiam oficjalnie magnetofon. Natomiast jeśli z kimś rozmawiam zupełnie zwyczajnie i on mi opowiada ciekawe rzeczy, a ja powiem mu: „Poczekaj, poczekaj. Ja sobie to zapiszę. Jak się nazywała ta wioska?”, to wtedy jest już koniec rozmowy.

To jest to, co mówił Kapuściński, że jeżeli z dwóch godzin rozmowy nie jest się w stanie zapamiętać kilku zdań, to znaczy, że ta rozmowa była nieważna. Te ważne zdania człowiek rzeczywiście zapamiętuje. I właśnie jeżeli w moich tekstach pojawiają się zdania z czyichś wypowiedzi, to są to zdania przeze mnie zapamiętane. Może nawet niedosłownie, ale nie będzie to wielki grzech, jeśli ja zamiast słowa „lecz” użyję „ale”.

Ale to są te zdania najważniejsze?

Tak, to są te najważniejsze i w zasadzie jedyne, które zapamiętałem na sam koniec rozmowy. Jeżeli kończąc ją wiem, że mam coś do zanotowania, to sobie szybko to notuję.

Więc po tym pobycie w tej strefie wojennej wracam i piszę 2–3 krótkie relacje do gazety, robię swoje notatki i już sobie myślę, co jest do wykorzystania do czegoś większego, np. do reportażu. Fotoreporter w tym czasie robi selekcję zdjęć i wysyła te materiały. Cały taki cykl produkcyjny trwa mniej więcej tydzień.

Inna jest sytuacja, jeżeli wyjeżdżam np. do Ugandy, którą traktuję jako kraj, a nie jako wojnę. Natomiast jeśli wyjeżdżam do kraju, gdzie coś się dzieje i to jest wydarzeniem, które stało się pretekstem do mojego wyjazdu, to sporządzam oczywiście codziennie relacje. To jest wtedy zupełnie zwariowany dzień. Bo rano się wstaje, galopuje do godziny 12–13. Potem 3–4 godziny pracy nad tekstem i wysyłanie.

Pamiętam np. jak obalano Zwiada Gamsachurdię w Gruzji w 1991 r., musiałem wstawać o godzinie 6–7 rano, biegałem po mieście do godziny 15–16, pisałem na kolanie, bo nie było komputerów. Później spędzałem tyle samo czasu w kolejce na pocztę, żeby dojść do telefonu, zadzwonić do Polski i podyktować tekst maszynistce. To był prawdziwy koszmar.

Z kolei inna sprawa to jest przesunięcie czasowe. Kiedy Hongkong jednoczył się z Chinami, skończyliśmy pracę z Krzysztofem Millerem o godzinie 8 rano następnego dnia. Dlatego, że po zwinięciu i przekazaniu flagi brytyjskiej był jeszcze taki moment, kiedy wojska chińskie przekraczały granicę z Hongkongiem. To się już odbywało nad ranem, o godzinie 4–5 miejscowego czasu. W Polsce wciąż była 21–22. Gazeta uznała, że wszyscy będą mieli zdjęcia po zmianie flagi, natomiast jeśli my moglibyśmy mieć zdjęcia wojsk chińskich wjeżdżających z czerwonymi sztandarami, to będzie bardzo dobrze. Pojechaliśmy tam zatem, ja o tym pisałem, pracę zaczęliśmy o 8 rano i skończyliśmy o 8 rano następnego dnia.

Pamiętam – to było absurdalne, ponieważ przyjechaliśmy do swojego hotelu strasznie zmęczeni, na dworze była jeszcze szarówka, byliśmy głodni, usiedliśmy w restauracji i zamówiliśmy po piwie. Zapaliliśmy papierosy i dopiero wówczas zobaczyliśmy, że zachowujemy się jak jacyś menele. Dlatego, że hotel dopiero się budził, wstawał na nogi, jadł śniadanie, ludzie zamawiali sobie kawę, a tutaj myśmy pili browary i palili papierosy.

Nie pamiętam wojny, żebym kiedykolwiek, z jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego relacjonował dłużej niż tydzień. Poza tą afgańską, gdzie przebywałem całe 3 miesiące, ale to była najważniejsza wojna. Tydzień był wystarczającym czasem, żeby się dowiedzieć wszystkiego, napisać 4 teksty, wysłać je, później ewentualnie stworzyć jakiś reportaż.

A jak jest Pan już na miejscu, to zdarza się tak, że to Pan szuka fabuły czy życie jest tak nieprzewidywalne, że ono samo ją podsuwa?

I jedno, i drugie. Nigdy nie wyjechałem nieprzygotowany. 90% mojej pracy to jest praca tu na miejscu – przygotowuję się, czytam. Nigdy nie jechałem w sytuację, o której nie miałem pojęcia. Zawsze wyjeżdżałem z jakimś bagażem wyobrażeń, informacji, wiedzy i planów, co chciałem zrobić.

Natomiast to wszystko jest weryfikowalne na miejscu. Bardzo często jest tak, że ta zastana rzeczywistość wpisuje się w moje wyobrażenie, ale zazwyczaj

to się konfrontuje. Czasami są rzeczy nieprzewidywalne. Najlepsze sytuacje zdarzają się tam na miejscu, nie można ich przewidzieć. Można przewidzieć ludzi, których się spotyka – jeśli jadę gdzieś i wiem, że tam występuje jakiś prezydent, minister, czy w ogóle jakaś ciekawa postać, to będę się chciał z nią spotkać. Chociaż różnie to bywa.

Pasjonowałem się boksem. Pojechałem na Kubę i była okazja rozmowy z Feliksem Savonem – to był miejscowy champion, fenomenalny zawodnik. Na miejscu okazał się człokształtnym typem, nawet nie człowiekiem. Przeprowadzenie z nim wywiadu nie było możliwe, bo on prawie nie mówił, był półpijany, próbował zgwałcić mojego tłumacza w alkowie. Po prostu jakieś zupełnie koszmary.

Natomiast do Ugandy jeździłem tam jako dziennikarz, jako reportażysta, bo zbierałem materiały już do książki. Byłem tam czterokrotnie. Za trzecim razem wyjechałem z przeświadczeniem, że mam poukładaną książkę, mam plan, brakuje mi paru „cegiełek”. Pojechałem czwarty raz i wszystko się wywróciło do góry nogami. Dla mnie to jeszcze lepiej, bo to wszystko, co było, wciąż jest, natomiast znalazłem coś jeszcze lepszego. Pisałem książkę z pełną świadomością, że być może gdybym przyjechał jeszcze raz, zrobiłbym coś jeszcze lepszego. Ale może też być tak, że bym pojechał jeszcze 16 razy i nic nowego bym nie wymyślił.

A wracając do weryfikacji, ile z tych 90% wiedzy zdobytej jeszcze w Polsce sprawdza się, potwierdza tam na miejscu?

To, co mam w Polsce, to jest taki czarno-biały rysunek w dwóch wymiarach. Jadę tam i to wszystko robi się plastyczne, barwne, rusza się, mówi. Czyli to, co stąd wywożę, jest tylko taką podstawą i to się nie zmienia. Wszystko, co stąd wywożę, jest prawdziwe, tylko ono się gdzieś chowa.

Oczywiście w pewnych wypadkach, nie powiem procentowo, ale to przeważnie dotyczy konkretnych osób, zależy od tego, czy rozmawia z kimś dziennikarz, ja czytam ten materiał i temu dziennikarzowi nie podobał się jego rozmówca i pisze o nim niekorzystnie. Dla mnie to jest informacja, że to jest jakiś nieciekawny człowiek. Ja do niego idę i okazuje się, że jest to rewelacja, ale tylko dla mnie. Dlatego tutaj nie przykładam zbyt wielkiego znaczenia, ale skrzętnie wszystko notuję.

I jadę też często nastraszony czasami niepotrzebnie, ale też i odwrotnie. Czytałem o Kabilim Starszym, że to jowialny pan, taki brat łąta i takiego się go spodziewałem, a on okazał się człowiekiem bardzo zamkniętym, aroganckim, wyniosłym. Nie wiem, być może był takim bratem łątą kiedyś, natomiast ja go spotkałem, kiedy przygotowywał się do przejęcia władzy i wtedy takich jak ja lekceważył. Także to się wszystko zmienia, ale trudno to wyrazić w procentach.

Powiedział Pan kiedyś, że pisanie reportażu-książki „jest bardzo ciężkie i boli”. Na czym to polega?

Dla mnie to jest zmaganie się z materia, żeby wymyślić i zrobić coś maksymalnie dobrego. Każdy z nas potrafi wymyślić jakieś tam zdanie. Natomiast dla mnie musi być ono najlepsze. W związku z tym np. szukam sześciu czasowników, zmieniam je, zastępuję.

Może największym bólem jest niepewność, czy to już jest naprawdę skończone. Ja zazdroszczę ludziom (a z drugiej strony, trochę mi ich żal), którzy siadają pisać od razu 250 stron, wszystko, co mieli do napisania. Skupiają się na tym, co chcą powiedzieć, a już nie na formie. Dla mnie forma jest bardzo ważna. Jak się decyduję na książkę, to mam takie wewnętrzne poczucie, że coś chcę powiedzieć – coś więcej niż tylko opisanie zdarzenia. Wtedy muszę znaleźć ten najlepszy sposób. To szukanie tego „złotego środka”, chociaż teraz to mnie może mniej boli.

Książka jest jak dziecko – to jest dla mnie coś najcenniejszego, poza dziećmi oczywiście, w związku z tym strasznie mi na tym zależy. Ja wiem, że nie mogę wrócić i poprawić przyrody. Więc to jest to, co najbardziej boli. Kiedyś trzeba sobie powiedzieć „basta”, bo inaczej to się nigdy tego nie skończy. Założyłem sobie, że piszę dziennie maksymalnie stronę tekstu. Nawet jak mam pomysł na więcej, mam licznik, jest strona, koniec, przerywam pisanie. To jest dobrze, bo przez te 4–6 godzin pracy na stronę tekstu naprawdę można wymyślić i napisać coś dobrego. Poprzednie książki pisałem przez 3–4 miesiące „galopując”, pewne rzeczy robiąc ze świadomością, że na pewno można by było lepiej, ale byłem tak zmęczony tym tempem, że już nie miałem siły.

Większość reportażystów ma własną definicję reportażu. Taką miał Ryszard Kapuściński, Melchior Wańkowicz, ma ją Hanna Krall. Jaka jest Pana definicja reportażu?

Nie mam definicji. W ogóle nie lubię żadnych definicji. Może nie dorosłem do tego. W życiu nie postawiłbym się w szeregu z nazwiskami, które pan wspomniał.

Jak to jest, że nie ma Pan własnej definicji reportażu?

Ja w ogóle mam ogromną niechęć do definiowania, do dawania jakichś etykietek, nazw. Bardzo często oczekuje się jasnych odpowiedzi: „Będzie tak czy będzie tak?”, „Jak się skończy ta sytuacja?” „Jak to?”. Nie wiem, nie mam pojęcia.

Moją rolą, tak jak sobie wyobrażam reportaż, jest takie przedstawienie, żeby jak najwięcej dać czytelnikowi tego tła. Żeby on sobie sam wszystko poukładał, jak z klocków lego, z których mógłby sobie stworzyć cztero-, sześć- lub

ośmiowymiarowy obraz. Ale to on sobie to układa – nie ja. Ja jestem dostarczycielem informacji, ale nie definicji. Nie mogę powiedzieć, że ten i ten człowiek to jest odrażającym moralnie. To nie jest moja rola. Moją rolą jest spojrzeć na niego ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Spojrzeć na tę twarz człowieka niegodziwego, ale później zobaczyć, że w innej sytuacji zachowuje się jeszcze inaczej. Czytelnik musi to ocenić.

Pan jest twórcą przekazu, a czytelnik twórcą odbioru?

Tak ja to odbieram. Nawet jeżeli mam dla czegoś własne definicje, to nie mam prawa narzucać ich czytelnikowi. Nie mogę wykorzystywać, nadużywać swojej roli dziennikarskiej. To jest nadużycie. To jest karygodne.

Pisząc, musi mieć Pan przecież w wyobraźni wizerunek swojego „wirtualnego” odbiorcy. Jak by go Pan opisał?

Każdy, kto sięga po moją książkę, jest dla mnie kimś bardzo cennym.

Bardzo mi zależy na ludziach młodych, na studentach, bo to są ludzie w takim naturalnym wieku największej otwartości. Jeszcze niezdefiniowani, jeszcze niemający za dużo stereotypów w głowie, jakichś skaz, blizn. Trochę zbuntowani, jeszcze szukający, idący pod prąd, na przekór i samemu sobie, i wszystkim. To są najciekawszy odbiorcy.

Ale to może dlatego tak sobie wyobrażam czytelnika, że takich zdarza mi się spotykać najczęściej na swoich spotkaniach. Wiem, że to nie jest główna grupa, ale wiem, że przez nich jestem czytany, jestem pytany, jest między nami dialog. Ludzie starsi bardzo często tracą taką odwagę pytania. Jak widzę na swoich spotkaniach autorskich, mój czytelnik to jest ktoś w wieku od 22 do 27 lat i taki bardziej otwarty.

A jak, według Pana, należy utrzymać proporcję w reportażu między zbyt powściągliwością a przegadaniem?

Ja mam bardzo dobry sposób i jest nim moja żona. Jestem gadułą i bardzo często popełniam takie nadużycia gadulstwa, natomiast ona jest moim pierwszym recenzentem i wszystko, co napiszę, oddaję jej. Ona ma znakomite wyczucie tego, ja nie. Autor jednak zawsze ma przekonanie (niezdyscyplinowany autor, do którego ja się zaliczam), że to, co napisał, jest najlepsze, że już nie ma co do tego wracać, a żona mnie dyscyplinuje.

Natomiast jedynym sposobem, jak sobie wyobrażam, gdybym miał sam tego pilnować, jest założenie, że nie oddaję tekstu przed 7-krotnym przeczytaniem go. I to nie raz po razie, tylko na przestrzeni np. dwóch tygodni. Warto przeczytać tekst co drugi dzień. Gwarantuję, że się pojawią refleksje, że się

wyrzuci niepotrzebne rzeczy. Dobrze jest np. przeczytać na głos to, co się napisało. Spróbować spojrzeć na to, co ludzi denerwuje, np. na barok językowy.

Który z własnych tekstów ceni Pan sobie najbardziej?

Nie potrafię odpowiedzieć. Z pewnością ważniejsze są dla mnie reportaże niż nawet najbardziej sensacyjne korespondencje depeszowe. W ogóle zaś nie przywiązuję się do przeprowadzanych przez mnie z rzadka wywiadów.

Większość dziennikarzy uważa swój zawód za misję...

Ja tak nie uważam.

Dlaczego?

Nie wiem, co to znaczy misja. Jaką misją miałyby być dziennikarstwo? Zmianą świata? Takie mniemanie jest ogromną pychą.

Ale po coś Pan pisze. Czy to nie jest ta misja?

No dobrze, ale czy nazwałoby się pracę górnika, to że zjeżdża do kopalni i kopie węgiel, misją górnika? Według mnie dziennikarstwo to jest zawód. Zawód polegający na dostarczaniu odbiorcy maksymalnej liczby informacji, fachowej wiedzy o otaczającym świecie i podanie jej w sposób przystępny. Nie w sposób ciekawy, bo boję się, że wtedy to będzie kojarzyło się z rozrywką. Ja uważam, że dziennikarstwo rozrywką być nie powinno. Oczywiście jeśli się dzieją rzeczy zabawne na świecie, to można o nich powiedzieć. Natomiast to nie może być sztuka dla sztuki. Bo tutaj mówimy o meritum, a nie o formie. Mam wrażenie, że forma często przerasta treść i my robimy jakieś kuglarstwo po to, żeby było na siłę śmiesznie. Więc ja nie uważam dziennikarstwa za swoją misję.

Ja swoim czytelnikom opowiadam o tym, co wiem o Afryce, o tym, co w niej widzę i jak ją rozumiem. To już jest wystarczająca arogancja z mojej strony, że opowiadam innym o jakiejś rzeczywistości. Ponadto zdaję sobie sprawę z tego, jakich nadużyć mogę się dopuścić. Bo to, że ja jestem o czymś przekonany, to nie znaczy, że tak jest. Natomiast ja o tym opowiadam, a czytelnik ma święte prawo brać to, co podaję jako prawdę. Jeśli ma on w sobie potrzebę weryfikacji, to takich czytelników nosiłbym na rękach. Ale ilu jest, którzy czegoś takiego nie mają?

Co więcej, przeraża mnie nieświadomość dziennikarzy, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, jakie skutki mogą powodować. Mogą robić ludziom w głowie mętlik, a jeszcze szczególnie w jakiejś skomplikowanej sytuacji międzynarodowej wystarczy jedno niepotrzebne czy źle użyte słowo, a jakie to może nieść daleko idące konsekwencje?

Niektórzy dziennikarze mają w sobie mnóstwo pychy, pouczają, chętnie biorą wszystko, nie poczuwając się do niczego. Dlatego samo odniesienie słowa „misja” do dziennikarstwa wydaje mi się w ogóle nie na miejscu. To jest profesja. My nie jesteśmy w niczym lepsi od innych zawodów. Natomiast to gwiazdorstwo, które jest wpisane w dziennikarstwo i ta łatwość, z jaką dziennikarze na to gwiazdorstwo zapadają, jak pragną tego, to jest nieznośne i obrzydliwe. Jak ktoś mi mówi, że ma swoją misję, to ja patrzę na niego podejrzliwie, bo widzę, jak on jest w sobie zapatrzonny.

Teoretycy stawiają reportaż na pograniczu dziennikarstwa i literatury. A Pan do której z tych grup byłby skłonny zaliczyć reportaż?

To jest hybryda. To jest to, o co pytają się na Zachodzie, gdzie mają te książki postawić? Jeżeli wszystkie książki, tak jak tam, podzieli się na *fiction* i *nonfiction*? *Cesarz* Kapuścińskiego jest reportażem, który opowiada o Etiopii, ale przecież jest alegorią władzy.

Reportaż jest dla mnie dowodem na to, że dziennikarstwo można uprawiać w sposób literacki – innym językiem, nie depeszowym, tylko lepszym. Jak się już uprawia reportaż literacki, to aż kusi, żeby była mowa o wydarzeniach czy osobach, np. o wspomnianych wcześniej Maschadowie i Basajewie, ale także refleksja o postawach życiowych, filozofia. W reportażu zachodnim nikogo to nie obchodzi. W dziennikarstwie zachodnim liczą się fakty. Jak *Cesarz* Kapuścińskiego poszedł do tłumaczenia, to amerykański wydawca kazał odnaleźć wszystkich ludzi „zakodowanych” pod literkami „L.C.”, „Z.T.” itd., sprawdzić ich, i żeby oni podpisali oświadczenie, że rzeczywiście powiedzieli to, co powiedzieli. Przecież jeżeli ja ukrywam mojego rozmówcę pod fikcyjnymi literkami, jeśli jeszcze wkładam w jego wypowiedź rozmaite rzeczy, to znaczy, że ja wszystko mogę wymyślić. I taka jest literatura. Ale to już nie jest dziennikarstwo.

To jest coś, co z jednej strony jest ciekawe, bo opisując w sposób literacki rzeczy istniejące, robimy z nich przez to taką trochę fikcję literacką. Ale to nie jest też nic nowego. Mamy w tym miejscu Marqueza z jego realizmem magicznym, Hemingwaya, który pisał korespondencje wojenne, będące w zasadzie opowiadaniem. To od nich się zaczęło. I ten krok między reportażem a twórczością literacką...

Chciałbym, żeby czytając moje książki, nikt nie podejrzewał, że ja uprawiam literaturę. To jest rzeczywistość, którą ja widzę. To nie jest nic zmyślonego. Ludzie, którzy się pojawiają, to są konkretni ludzie. Czasami może być tak, że ktoś się nazywa Augustyn, a w moim reportażu występuje jako August. Ale to wynika z mojej pamięci, z tego, że coś źle zanotowałem. Tylko, czy to jest tak ważne, że on się nazywał Augustyn – a nie August? Jest pewien problem, jego życie, coś, z czym się zmaga. I to musi być prawdziwe. I to są te granice, nie wolno pisać, że się widzi coś, czego widzieć się nie mogło

i się nie widziało. No i ewidentnie kłamać. To chyba jest, w Polsce, wystarczające, żeby ten reportaż mógł uchodzić wciąż za dziennikarski.

W zasadzie z tego co Pan mówi, widać, że reportaż sytuuje Pan w dziennikarstwie korzystającym z literatury?

Tak.

Naturaliści twierdzą, że reportaż to jest zwierciadło, w którym można odbić rzeczywistość. Czy, według Pana, jest to zwierciadło dobre? Czy są takie cechy reportażu, które przeszkadzają w takim idealnym odbiciu? Jakie są jego cechy, które przeszkadzają, a jakie ułatwiają?

Jest to oczywiście przerośnięta, że reportaż jest zwierciadłem, w którym się coś ogląda. Natomiast to nie do końca tak jest. To nie jest przecież zwierciadło, w którym czytelnik ma Burundi, które ja widziałem. To jest obraz przetworzony. To nawet nie jest fotografia.

Ja nie odwzorowuję w skali 1:1. To jest coś, co ja widziałem i potem tego jakby mój rysunek. Jeśli umiem dobrze rysować, to może on będzie wierniejszy, gorzej – to proporcje już są zachwiane. Po drugie, to ja rysuję ten obrazek, czyli odbiorca dostaje to, co ja uznałem za najważniejsze.

A zatem, to jest moja selekcja i moja umiejętność przekazania. Czytelnik dostaje nieprawdziwy obraz, wypaczony przeze mnie. To jest taki konterfekt namalowany przez autora.

Bardziej mi to przypomina zabawę w głuchy telefon, niż zwierciadło, bo ja to opowiadam, później ktoś jeszcze to opowiada komuś innemu, ale ja nie wiem, co ostatnia osoba słyszy – czy to, co ja powiedziałem na początku?

Zatem włącza Pan w reportaż językoznawstwo kognitywne, czyli to, co się dzieje w psychice podczas przetwarzania informacji?

Zdecydowanie. Na mnie to też wpływa, ponieważ są kraje, w których wydarzyło mi się coś fantastycznego, lubię je, kojarzą mi się słonecznie i wiem, że pisząc o nich, będę takimi barwami operował. Na przykład Czeczenia nieszczęsna, kojarzy mi się wyłącznie z czymś ciemnym. Zawsze jest to bardzo subiektywny, spaczony obraz.

A czy łatwo jest zachować obiektywizm?

W moim przekonaniu tak. Ja nie mam z tym kłopotów. Czegoś takiego jak absolutny obiektywizm nie ma. Wszystko, co mówię jest subiektywne, bo to mówię ja. To naturalne.

Natomiast ja obiektywizm rozumiem jako niezrażanie się do niczego i niepiśanie pod tezę. Nigdy nie miałem z tym kłopotów, może dlatego, że nie byłem

człowiekiem zdecydowanie zdeklarowanym w czymkolwiek – w jakimś światopoglądzie, ideologii, postawie politycznej.

Weryfikuje Pan wszystko? Rzeczywistość?

Czy weryfikuję? Nie wiem, bo to też trudno nazwać weryfikacją. Ja jestem ze sobą samym w absolutnej zgodzie, że nie zrobiłem niczego, bo np. byłem źle nastawiony czy czegoś nie lubiłem.

Czasami przeciwnie, zbyt jestem wyrozumiały i życzliwy wobec zachowań, postaw ludzi, których generalnie bym odrzucał. Zarzucano mi np., że jestem zbyt wyrozumiały wobec Szamila Basajewa, który uprawiał terroryzm, że tłumaczę Talibów... To nie jest tak, że ja byłem za Talibami. Natomiast ja w tych Talibach nie widzę dobra czy zła – widzę ludzi, którzy wykonują jakieś działania, w jakimś celu, z jakichś przesłanek. Moją rolą jest zrozumieć jak najwięcej, dlaczego oni to robią i opowiedzenie o tym.

A czy według Pana reportażysta może komentować rzeczy, które opisuje?

Ja nie komentuję, staram się unikać komentarza i mam nadzieję, że w tych moich reportażach komentarza się nie znajdzie, przynajmniej wartościującego. Bo komentarz-refleksja do czegoś a komentarz wartościujący to są dwie zupełnie inne rzeczy. Ja staram się nigdy nie zabierać głosu *ex cathedra* i mówić, że dobrze się stało, źle się stało, że należy potępić, chwalić.

Czyli Pan chce pokazać cały problem wielostronnie, natomiast odbiorca-czytelnik ma sobie sam wyrobić zdanie?

Tak, to jest mój taki idealny stan.

A mógłby Pan wypowiedzieć się na temat fikcji literackiej? Jak, według Pana, wygląda fikcja w reportażu, czy można go jakoś „podbarwiać”?

Podbarwiać może nie, bo jest to nadużycie. Ja się go dopuściłem raz i to pamiętam dokładnie. Napisałem reportaż o Szewardnadze, z którym rozmawiałem, o którym się wiele naczytałem, pisząc to jakby w jego imieniu, jego oczami. Jest to nadużycie. Ten reportaż ukazał się w gazecie i w książce. Nie ukazałby się nigdy w żadnej zachodniej gazecie.

A co sądzi Pan o blogach reporterskich?

Nie uprawiam ich i nie czytam. Ta forma jest mi zupełnie obca. Uważałbym to za marnotrawstwo czasu. Nie potrafię robić jednego i drugiego. Blog jest to coś w rodzaju pamiętnika. Mnie zawsze uczono, że jak ktoś pisze pamiętnik, to nie wolno w jego pamiętnik zaglądać. Więc nie rozumiem, dlaczego ktoś pisze pamiętnik i go pokazuje, sam szuka odbiorcy.

Nawet spotkałem się z tezą, że to jest najwyższa forma sztuki, ponieważ tworzy się go nie w celach komercyjnych, nie znając odbiorcy itd. Notki w tych blogach wpisuje się na bieżąco, ale dla mnie to jest strasznie niechlujnie. Ja nigdy blogu pisać nie będę.

W jednym z czatów internetowych internauta zadał panu pytanie: „Czy kształci pan sobie jakiegoś następcę?”. Wtedy odpowiedział pan: „Mam następcę, nawet dwóch. Nie wiem tylko czy którykolwiek z nich będzie chciał być dziennikarzem”. Czy miał Pan na myśli swoich synów? Jeśli tak, to kto, według Pana, może zostać Pańskim następcą w sensie zawodowo-reportażowym?

Tak, miałem na myśli swoich synów. Sformułowanie „kto może zostać moim następcą” strasznie budzi we mnie reakcje. A skąd ja niby mam wiedzieć, kto? Każdy, komu się będzie chciało. I czy naprawdę zrobiłem coś takiego, że powinienem mieć następców? Nie wydaje mi się.

Czy ma Pan jakieś prognozy dotyczące przyszłości reportażu jako gatunku dziennikarskiego? Czy są one optymistyczne?

Mam rozmaite myśli, raczej złe. I nie dotyczą one tylko reportażu, lecz całego dziennikarstwa. Odnoszę wrażenie, że znajduje się ono w stanie zanikowym, obumierającym. Tradycyjne dziennikarstwo, mam wrażenie, wkrótce się skończy. Nie będzie więcej miejsca, już go brakuje, dla ludzi, pragnących się w czymś specjalizować.

I mam na myśli nie tylko Polskę, ale świat. Przyjaciółka z „Washington Post” napisała mi właśnie, że „Boston Globe” postanowił pozamykać swoje korespondenckie biura zagranicą. W gazetach wkrótce znikną dotychczasowe działy i zamiast „Nauki”, „Zagranicy”, „Gospodarki” czy „Kultury”, redakcja podzieli się na zespół tekstów krótkich z obrazkami i tekstów długich. Ten drugi dział będzie zresztą coraz bardziej wypierany.

Nastaną czasy sprawnych omnibusów, którzy będą się specjalizować w rozbawianiu raczej czy zajmowaniu czytelnika lub widza, niż informowaniu go o czymkolwiek. Reportaż przeniesie się z gazet do książek. Ale ponieważ z tego wyżyć się nie da, a i na sławę ukochaną nie ma co liczyć, będzie to więc strefa niszowa, w której marzyłbym się znaleźć i nie wyściubiać z niej nosa. Większość dziennikarzy zaś z najwyższą ochotą przemieni się w trefnisiów i będą upajać się dźwiękiem swojego głosu i widokiem swojej twarzy w ekranie telewizora. I wcale nie jest to wina jedynie ogłupiającej telewizji. Podatność na tandetę, arogancja, samozachwyt, to zawodowe choroby dziennikarzy, na które nie ma szczepionek. W dodatku zamiast się przed nimi bronić, staramy się za wszelką cenę nimi zarazić.

Zbigniew Bednarek

**“For me more important than even
the most sensational dispatches are reportages”
– the interview with Wojciech Jagielski about his war reportages
(Summary)**

Wojciech Jagielski is one of the most outstanding Polish reporters. He is interested in the problems of Central Asia, the Caucasus and Africa. In this interview we can find out what reportage and objectivism mean for him, what the role of the reporter is, what problems he faces, what an ordinary day in an area of war looks like, what are the stages of work on making a reportage, along with learning about his opinion on contemporary journalism.